

Pismo to wychodzi  
trzy razy w tydzień  
to jest: w Ponie-  
dzialek, Środę i  
Piątek, o drugiego  
po południu.

# ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść  
Nrów wynosi Złp.  
6 i przyjmuje się w  
księgarni Czecha,  
w handlach Rocha  
i Schreibera.

PIĄTEK 8 CZERWCA

N<sup>ER</sup> 7.

1838 Roku.

## ART PIĄTY. DRAMAT W JEDNYM AKCIE.

PRZEZ J. K. (1)

### OSOBY.

WACŁAW.

ELIZA, żona jego.

HRABIA HENRYK.

DOKTOR.

WALENTY służący doktora.

JAN służący Wacława.

### SCENA I.

*(Teatr wyobraża altanę gustowną  
i bogatą, której drzwi otwarte  
wychodzą na ogród illuminowany:  
słychać w oddaleniu muzykę balową  
i widać czasem przechodzące osoby.)*

HRABIA *(przechodzi się niespokoj-  
ny, poglądając często ku drzwiom.)*

(1) Przedrukowano z książki wyszłej w  
roku bieżącym w Wilnie pod tytu-  
łem: *Rusalka*, wydana przez *Ale-*  
*ksandra Grozę*. Wymieniamy skąd  
ten artykuł bieżemy, aby nasi czy-  
telnicy mogli trafić do tego źródła  
w którym i pod względem poezyi i  
prozy zaspokoja swoje pragnienie —  
A jak znany zaszczytnie w świecie  
literackim *Michał Grabowski* słus-  
znie powiedział w *Rusalee*, mó-  
wiąc o *Kwartalniku Naukowym Kra-*

**NIEPRZYCHODZA!** — Co za nie-  
znośne oczekiwanie! — Już mi  
ten przymus ciężcyć zaczyna. Wię  
ona dobrze, że ją kocham, ale  
teraz czuję odwagę powiedzieć  
jéj, że musi bydz moją. Tyle  
miałem do tego sposobności:  
zawsze blagającém wejrzaniem  
rozbrajała śmiałość, zamykała u-  
sta. Jéj mąż zajęty grą, ale wi-  
dząc, że ma nas na oku, dotąd  
mleczy: zdaje mi się przecięż,  
że ten ponury i głęboki filozof,  
ma wórok bystry, zaostrozony  
siłą miłości. *(po chwili)* Jeszcze  
nie ma. Niedotrzymałaby mi  
Emilka słowa? obiecała ją skło-  
nić do przejścia się po ogrodzie,  
tu wprowadzić i zanukać —  
*(przysłuchuje się)*. Nie to nie ona.

kowskim i Wizerunkach wycho-  
dzących w Wilnie: „Nie możemy  
dosyć zachęcać naszych czyteln-  
ków, ażeby nie dopuszczali (co aż  
nazbyt zwyczajną u nas) żywić się  
samym tylko molom temi dwoma  
zbiorami pism, czyniącemi rzetel-  
ny zaszczyt naszemu piśmienni-  
ctwu, tak i my z sumiennością za  
*Rusalką* temi samemi słowy odezwać  
się sądziemy być naszą powinnością.

Jakieś nieznosne figury przechodzą. — (*z niecierpliwością*) Wacław nareszcie postrzeże się, że mię tak długo niema, ha słyszę jęj głos: — O! poczeiwa Emilko! — żeby tylko tu weszła. Wię ona dobrze, że ten bał dla nięj, że jest jego królową. Imaginacya jęj podniesiona, tém chętnięj słuchać mię będzie. (*chowa się za boczne drzwiczki*).

ELIZA (*wstroju balowym wchodzi i pozięra wkoło*.)

Co za czarujące schronienie! ale gdzież Emilka? — Emilko!.. (*staje przed lustrem i poprawia sobie włosy*) Emilko! niegodziwa, zostawia mię tu samę. Śliczna altana! (*siada na sofie*) on tu pewnie nie raz spoczywa, a może i o mnie marzy?

HRABIA (*zblizając się klęka*.)

O kimże mógłbym marzyć?

ELIZA (*zrywa się*.)

Ha! Emilko! — puść mię Hrabio! — O co za zdrada, mogłażem się jęj spodzięwać od twojęj kuzynki, która się mięni moja przyjaciółką? (*chce odejść*.)

HRABIA.

Elizo! piękna! droga Elizo, zatrzymaj się!

ELIZA.

Puść mię Hrabio! tuż za tobą występек i hańba.

HRABIA.

Będę skromnym, bojaźliwym,

pobożnym. Uklęknę z daleka, ręce złożę, czeić cię będę jak bóstwo, ale posłuchaj mię!

ELIZA.

Zapomniales, że mam męża, że mam dzieci, — moje niewinne anioły, — o nie, nie — nie mogę przyjąć czei twojęj, ona, jak dym ofiarny, okopca swoje bżyszczę, (*patrzy ku drzwiom*). O mój Boże! tam tłumy gości twoich przechodzą; cały ogród jaśnieje od światel. Jakże stąd wyjdę, — sama? — Podziękuj Hrabio swojęj kuzynce, że ci tak dobrze usłużyła; ale razem powiedz jęj, że nasza przyjaźń za tym progiem zginęła. Kto nie dha o honor swoich przyjaciół, ten jest zdrajcą. — A mój mąż! mój biędny mąż!

HRABIA.

Twój mąż zajęty grą; — nie bój się Elizo, tu nikt nie wejdzie.

ELIZA.

Jakto! więc wszyscy ci goście są wzmowie z tobą? i moja hańba całemu światu wiadoma? Pięknie, tegom nie mogła się spodzięwać. Coś mi miał mówić Hrabio, nie wiem, ale posłuchaj, co ja ci powiem. Mówiles mi nieraz o miłości, zdawało mi się widzięć szczęre jęj dowody i przyznając się, że te słowa twoje wpadały do mego ucha, i choć grzészne, głębiej może nawet

przenikały. Dziękuję Bogu, że m się oszukiwała. Gdybyś mię kochał, starałbyś się otoczyć mię szacunkiem twoich przyjaciół: postępujesz przeciwnie, i prawdziwie podziękować ci muszę, że obudzasz we mnie tę godność kobięcia, którą może uspiła cokolwiek dawniejsza twoja zrzęczność.

HRABIA.

Mylisz się Elizo! przysięgam ci na wszystko, nikt prócz Emilii tajemnicy mojej nie przenika.

ELIZA.

I tyś się pomylił Hrabio, z tych kilku słów, którem tu przypadkiem wyrzekła, nie sobie nie wnoś. Potrafię stłumić iskrę, której światelko dostrzegłeś, a którą w zbytniem zaufaniu w sobie bierzesz za nieugaszony pożar.

HRABIA.

Elizo! posłuchaj mię!

ELIZA.

I cóż mi powiesz! jak skoro przestałeś bydź niebezpiecznym, mogę cię słuchać! Chociaż przyznam, że tu ani miejsce, ani pora. Jestem w sumieniu spokojna i bezpieczna, przecież jako dbająca kobieta o swój honor, jako żona czuła na spokojność męża, słuchać cię nie powinienam. Bo uważ, tam sto oczu ciekawych i złośliwych śledzi

moje kroki, abym się stała gadką całego miasta, a tam mąż, którego pożera zazdrość, który w tej chwili z rozpacz może stawi na kartę ostatni fundusz. I niezaręczyłabym nawet, czy do tej gry, w której rujnuje siebie i dzieci, nie wciągnęli go twoi współnicy, aby tymczasem żona miała czas okryć go hańbą. — Przyznaj Hrabio! że pięknem trudnisz się rzemiosłem. Na toż używasz środków rozumu, zgubnych powabów, darów losu, aby ten, którego miénisz się przyjaciелеm okrył synów swych łachmanami; aby ta, której się nazywasz kochankiem, przekazała córce swęj sromotę. I ty mię kochasz? ty siebie kochasz! — (*cichym głosem*) A ja, ja się tobą brzydzę!

HRABIA.

Elizo! niezwodź się, nie zmyślaj obojętności, której nie masz, ty mnie kochasz, ty walczysz z sobą wszystkiemi siłami cnoty i pokonać się nie zdołasz. I ja bym na to pozwolił, abyś ty była nieszczęśliwą; aby we łzach i tęsknocie uwiadł kwiat twojej młodości? — Nie Elizo! ty musisz bydź moją!

ELIZA.

Milcz! Jeszcze mię tak dalece nie poniżył, abym cię slu-

chać miała. Idź poszukaj swojej kuzynki, niech wróci, abym z jakimkolwiek pozorem uczciwości wyjść stąd mogła. Spiesz! (*patrzy ku drzwiom*) ha! nie czas już, mój mąż tu idzie. Boże mój! cóż pocznę? — Oddał się którejdy cheesz, odéjdź byle cię nie widział, na Boga, na sumnienie, zaklinam!

HRABIA (*nieporuszony*).

Nie, inny mam zamiar; — zostanę.

ELIZA (*składa ręce*).

Henryku!

HRABIA (*otwiera szybko drzwi boczne i wychodzi*).

ELIZA (*sama*).

Cóż mu powiem? — Dla czegoż tu jestem sama jedna? — jaki smutek na jego twarzy! jakąż siłą spętała jego kroki i odpychać go zdaje się od tych drzwi fatalnych. Jego milczenie przeraża mię. Któż wie jak bliska jest chwila wybuchnienia? jeżeli go widział, słyszał! Boże! Boże! Jakże to okropnie bydy winną. Ale mogłamże się spodziewać takiej zdrady od przyjaciółki. Wszystko się na mnie sprzysięgło i to serce, to biedne serce wzmowie zwrogami mojego pokoju i honoru (*siada*).

WACŁAW (*wchodzi swolna i*

*pogląda wokoło*).

Jesteś tu Elizo?

ELIZA.

Przechadzałam się z Emilką; usiadłam odetchnąć: tylko co stąd wyszła.

WACŁAW.

Kto? Emilka?

ELIZA.

Głowa mię zabolęła i dla tego niewracam do sali.

WACŁAW.

A mnie tu, coś zabolęło i dla tego wyszedłem z sali.

ELIZA.

Smutny jesteś mój mężu?

WACŁAW.

Czy masz dla mnie pociechę? przegrałem wszystko!

ELIZA.

O Boże!

WACŁAW.

Ale i ty podobno stawisz wszystko na kartę?

ELIZA (*proszącym głosem*).

Wacławie!

WACŁAW.

Pięć lat temu, wieczorem, skoro mogłem się uwolnić od obowiązku, dosiadłem konia. Pamiętasz Elizo! koń to był dzielny, droga niedaleka, a jednak zawsze pokalęczony wracał do domu. Bo jakież koń na świecie mógł być wówczas biędz równie zechęciami mojemu. Kiedy wokoło mnie rozlegały się pieśni

ptaków, zieleniły się łąki, kiedy zdaleka błyszczały stawy ogromne, jak miłowe zwierciadła, kiedy natura w całej ozdobie wiosny, ozłocona zachodzącym słońcem wzywała mojego oka, upajała wszystkie zmysły i zszumem lasów zdawała się ku mnie szeptać słowa miłości, jam nie niewidział, nie słyszał, boś ty była piękniejszą niż ona, bom jechał do ciebie!

ELIZA.

Czy myślisz, że mi ten czas przestał być miłym?

WACŁAW.

Pamiętasz tę altanę na wzgórku: zdaleka u jej wchodu widziałem powiewającą twą chustkę, i wówczas ostroga tonęła w boku mojego konia, i w jednej chwili byłem u nóg twoich, szczęśliwy, spokojny i bezpieczny! I tak było codziennie, a ta altanka była prosta, skromna, cienista; powój wiał się po jej powiązanych chrustach, chmiel osłaniał jej wiejskie sklepienie i okrywał naszą miłość, niewinna jak twoje serce, czystą jak życie aniołów, pełną nadziei szczęścia, jak myśl ośmnastoletnia. Ta altana Elizo! pełna sztuki i ozdoby, tu marmur błyszczy na ścianach, tu złoto otacza zwierciadła, które powtarzają

twoją piękność, tu wykwiitna roskosz założyła siedlisko i sieć ponętną rozpięła. — I ty tu czekasz Elizo! — nie na mnie!...

ELIZA.

Wacławie! maszże mnie za występłą? — O! to myśl zabijająca!

WACŁAW.

Kiedym cię wziął z rąk matki i zaprowadził przed ołtarz, kiedym po raz pierwszy usłyszał płacz mego syna i ujrzał uśmiech szczęścia na twojej zbolącej twarzy, kiedym cię widział przez lat cztery łączącą wszystkie siły na to, aby dzieci miały rozrywkę, mąż pociechę, dom pokój i ciszę, myśli tej nie miałem. Wiészże, kiedy mi przyszła? — O! ty pewnie tę chwilę pamiętasz, i dla mnie ona pamiętna. Siedziałas przy oknie, dzieci bawiły się u nóg twoich, ja z boku, zajęty pracą często odrywałem wzrok od papierów, aby spojrzeć na ciebie, jakbym przeczuwał, że to była ostatnia chwila, w której byłaś całkiem moja. Wtém zatętnił galop konia, spojrzałaś w okno i patrzałaś długo, jak gdybyś wiedziała, że jeździec wróci; jakoż tentent się powtórzył, i taki sam rumieniec, jak w tej chwili, okrył i wtenczas twarz twoją, i wów-

czas to urodziła się we mnie ta myśl, która dzisiaj dojrzała.

ELIZA.

O mój Boże jam niewinna!

WACŁAW.

Jakże Elizo, czy stąd wyszła Emilka? nie poniżaj się do kłamstwa. — Ale także nie wyznawaj; (*cicho*) — widziałem! — (*Eliza pada na kolana*). Dotąd starałem się czuwać nad tobą, jak twój anioł stróż, zdaleka, tajemnie: — ostrzegałem cię tylko niekiedy spojrzaniem, smutkiem. — Dziś, przywodzę ci na myśl dawniejsze łąta, aby ich obraz przypomniął ciem dla mnie jesteś; dziś, gdy już nie wiem z pewnością, jak dalece jestem nieszczęśliwy i pokrzywdzonym; ostrzegam cię Elizo! iż w tém sereu głębokiém, oprócz miłości dla ciebie, jest uczucie straszne, okropne! — przypominam ci, że tam dzieci nasze nie wiedzą o tém, że może ta chwila przygotowała im sierotwo!

ELIZA (*zrywa się*).

Do domu Wacławie, do domu! (*Hrabia i Doktor wchodzą*.)

HRABIA.

Tak wczesnie, kiedy wieczera przygotowana.

ELIZA (*trzymając się męża*).

Jestem chora, muszę wrócić.

HRABIA.

Wacławie, nie ró b mi téj przykrości, to twój kaprys. — Dla tegoż, że ci się nie poszczęściło, masz pozbawiać towarzystwo najpiękniejszej jego ozdoby.

ELIZA.

Nie Hrabio, rzeczywiście jestem chorą, racz darować.

HRABIA (*do Wacława*).

Majora zapłaciłem, jak będziesz miał, to mi oddasz; zostań!

WACŁAW.

Elizo, słyszysz? — przegrałem sto dukatów: Hrabia je zapłacił, dziękuję ci.

ELIZA.

Słabo mi.

DOKTOR.

Siądź pani (*podaje jej krzesło, Eliza siada*).

HRABIA (*głosem wyrzutu*).

Wacławie!

WACŁAW (*z niecierpliwością*).

Hrabio!

HRABIA (*miarkując się*).

Muszę się z tobą widzieć, mamy mówić o rzeczy bardzo ważnej: za parę godzin czekam cię: — będziesz?

WACŁAW.

Wolałbym teraz.

HRABIA.

Odprowadź żonę: — chora.

WACŁAW.

Więc; — za parę godzin będę.

ELIZA.

Gdzie? — Wacławie!.. *(cicho)*

Uciekajmy stąd!.. *(wychodzą)*.

HRABIA *(klaszcze — lokaj wchodzi)*.

Karéta! *(chce iść za niemi, Doktor zatrzymuje go)*. — Dla czego mię zatrzymujesz?

DOKTOR.

Zaczekaj Hrabio, nim będziesz mówił z Wacławem, chciałbym pomówić z tobą.

HRABIA.

Cóż mi powiesz?

DOKTOR.

Byłem ojca twojego przyjacielem; — a ten biedak, co dopiero stąd wyszedł, jest moim wychowawcem, i kocham go jak syna.

HRABIA.

Na cóż mi to mówisz doktorze?

DOKTOR.

Każdy swojemi czynnościami pisze historią swojego serca, i dziwi się, że ją drudzy czytać umieją. Młody naprzykład bogacz, mający rozum i wielki majątek, znaczenie i powaby, zaprzyjaźnia się z ubogim człowiekiem, który ma piękną żonę; wyrabia mu zyskowne miejsce; otacza ją wszystkimi przyłudami życia, daje balet na jej imieniny, ponieważ tak nazywała się jego

matka, która już od dziesięciu lat w grobie; — i dziwi się, gdy mu stary przyjaciel powie: kwiatami okrywasz ich hańbę; złotem osypujesz ruiny ich szczęścia!

HRABIA.

Mów zwięźlej starcze! bo tam cała kompanija bez gospodarza.

DOKTOR.

Lepiej, aby błakała się bez gospodarza, niż żeby serce błakało się bez hamulca i unosiło do kroków, których cofnąć nie można. Cheesz z nim mówić: — cóż mu powiesz?

HRABIA.

Interes jest wielkiej wagi dla nas obudwu. — Pragnę go załatwić jak człowiek uczciwy!

DOKTOR.

Hrabio! z takiej sprawy ani szczęście jednej strony, ani sumnienie drugiej, nie może wyjść cało i bez kaléctwa.

HRABIA *(z niecierpliwością)*.

Od czegoż masz pierścien? będziesz kurował.

DOKTOR.

Wstydz się Henryku! w takiejże to chwili mógł ci przyjść na myśl żart tak niewczesny. Podobnaż, aby ty, syn najszlachetniejszego ojca, był prostym rozpustnikiem, igrającym ze szczęściem i pokojem bliźnich, dla tego, że masz miliony? — Posłuchaj co ci powiem, bo cię raz ostatni widzę: — wyciągasz rękę po cudze dobro, wciskasz się jak zły duch do rajy dwojga ludzi, na słabość kobiety

zastawiasz sidła, w które one tak łatwo wpadają. Ośmielony przykładami dzieściami, którym się udało, możesz być pewnym, że ty jedynasty nie przypłacisz ciężko chwili grzesznej uciechy? Znaszże dobrze tego człowieka? — on wszystkim swe nadzieje, wszystkie uczucia zlał na nią. Z całą głębookością pierwszój i jedynój miłości kocha ją, z całą głębookością tój duszy silnój, energicznój, niewycieńczonej, mścić się będzie. Pamiętaj o tém: — uważam was oddawna, i widzę, że w sercu jego okropne myśli powstają!

### HRABIA.

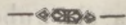
Tém pilniej potrzebuję z nim się rozmówić; a jakikolwiek będzie tój rozmowy skutek, dowiesz się. Jesteś stary, wszystkie uczucia w tobie skrzepły, wszystkie uniesienia zmarły; nie możesz mię sądzić. Wreszcie, nie chcę rozumować, namiętność nie zna rozumowania, i czuję to, że wszelka loika będzie przeciwko mnie. Ale chceszże znać stan mojej duszy? — powiem ci: kocham ją nad wszystko, nad pokój, nad życie! — to właśnie i jemu chcę powiedzieć, niech pozna zle, niech obiera środek jak ma zaradzić. Byłem występny wtenczas, gdy m zwrócił oczy na tę, która była dobrem innego, gdy m nie unikał powabu, który mię zwolna, stopniami pociągał. Można potępiać człowieka, który nicostrożnie zbliża się nad brzeg przepaści; ale gdy już stracił równowagę on-że winien, że się w powietrzu utrzymać nie może? że go ziemia ciągnie do siebie wszystkiemi siłami, których rozum wy-

rachować nie umie? Oto jest moje położenie! czy okropne, czy szczęśliwe, niewiem, czy na dnie tój przepaści znajdę miękkie łono wody, która się rozstąpi podemną i ocali, czy twarde urwisko skały, które mię zdruzgotuje: o tém myśleć nie powinienem, bo wybierać nie mogę. Sądź mię teraz jak ci się podoba. Jeżeli chcesz, przedsięwierz nawet środki do odwrócenia nieszczęścia, które przewidujesz: ja się cofnąć niemożę, bo nie ja samby m uciérpiał, gdyż ona mię kocha. (*wychodzi*).

### DOKTOR (*sam, salamując ręce*).

O nieszczęśliwa! — Ale nie czas narzekać, trzeba ich ratować. Cóż zrobić? — Niedoleżna sztuko! ledwie kilka lekarstw na niemoc ciała; ale chorój duszy przywrócić siły, przywołać uciekający rozum, zakłąć tę burzę gwałtowną, która rozrywa serca. Ah! i cóżbym dał za to, gdybym taką sztukę na jedną chwilę posiadał! — (*namyśla się*). Wywieść ich, niech uciekają: — tak, tak, to może uratować ich pokój; — oddam co mam, niech jadą; — zechceż ona? — i na to środek w niezachwianej woli. A jeżeli już nie warto ratować? — o nie, nie, to być nie może: Walewby tego dostrzegł, i uwodził jużby nieżył. (*wychodzi*).

(*Scena IIgu i IIIcia, w następny numerze.*)



Znaczenie przeszłej Szarady:  
*O kolice.*